



Wojciech Brojer

część I z II

Sygnatura notacji: **N1308**
Data urodzenia: **01.06.1949 r.**
Data nagrania: **18.10.2018 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 51 min, część II: 62 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Wojciech Brojer: Urodziłem się w 1949 roku 1 czerwca w Łodzi, tam, gdzie moi rodzice studiowali, ponieważ jeszcze wówczas nie było Politechniki Warszawskiej, a moi rodzice studiowali na Politechnice, właściwie w Szkole Wawelberga, która wtedy jeszcze funkcjonowała w Łodzi, zanim nie przeniosła się już do nieco odbudowanej Warszawy. Ojciec, Zbigniew Brojer, Powstaniec Warszawski, ranny 23 sierpnia w batalionie „Zośka”, mama też sanitariuszka, aczkolwiek nie lubiła o tym opowiadać, więc nawet nie wiem, kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach przystąpiła do Powstania, w każdym razie oboje się znali z Liceum Szymanowskiej, liceum chemicznego. Po wojnie ożenili się i po trzech latach w czterdziestym szóstym roku kontynuowali właśnie studia, urodziłem się i skończyło się na tym, że mama przerwała te studia, bo nie mogła sobie dać rady widocznie ze mną i ze studiami jednocześnie, ale oboje pracowali jako chemicy do śmierci i byli dobrymi. Ojca pamiętam jako znakomitego chemika. O Powstaniu i o wojnie, tak jak już zaznaczyłem, nie chcieli ze mną rozmawiać – to było rzeczywiście coś takiego, a ponieważ zanim ja tak naprawdę dojrzałem społecznie, politycznie, to ich już zabrakło, bo mama zmarła w siedemdziesiątym roku, jak miałem dwadzieścia jeden lat, a ojciec w osiemdziesiątym trzecim, czyli już właściwie po stanie wojennym, ale też nie było specjalnie okazji do tego, żeby z nimi o tym rozmawiać. To traktuję jako takie trochę niesprawiedliwe, że ja ich jednak do tych spowiedzi nie zmusiłem. Tyle, co wiem, powiedziałem na ich, o ich działalności w czasie wojny. Wiem, że ojciec potem był oczywiście w obozie jenieckim w Stalagu Altengrabow i wrócił chyba na początku czterdziestego szóstego roku do Polski, do Łodzi właściwie, spotkał się z mamą i właściwie wtedy wzięli ślub. Jak skończyłem trzy lata w pięćdziesiątym drugim roku, rodzice wraz ze mną przenieśli się właściwie do Warszawy, bo tutaj ojciec dostał pracę w Instytucie Tworzyw Sztucznych, potem nazwanym Instytutem Chemii Przemysłowej i pracował od pięćdziesiątego drugiego roku do końca życia, czyli do osiemdziesiątego trzeciego roku w tym Instytucie, w dziale żywic

epoksydowych. Jest autorem takiej książki, która do dzisiaj wychodzi o żywicach epoksydowych i uważany jest za współojca żywic epoksydowych. Ja natomiast skończyłem szkołę podstawową, zacząłem bardzo dobrze, bo szkoła się nazywała Jana Zamoyskiego na Smolnej, a skończyłem gorzej, bo się już wtedy nazywała ta sama szkoła Wandy Wasilewskiej. Ponoć wróciła do starej nazwy, ale tego nie sprawdzałem. Potem liceum też nie najlepiej, bo Jarosława Dąbrowskiego na Świętokrzyskiej, a potem Politechnika. Ja chciałem pójść na fizykę, ojciec mnie przekonywał, że po fizyce to zostanę belfrem, w związku z tym przestraszony poszedłem na Politechnikę, żeby zostać inżynierem. Wtedy były to czasy wczesnego Gierka. Gierek obiecywał gruszki na wierzbie, że będzie elektronika – to wtedy był ten słynny laser profesora generała Kaliskiego – no i że będzie wszystko bardzo dobrze. Ja próbowałem zrobić ambitną pracę magisterską i się okazało, że tego się w PRL-u zrobić nie da. Szukałem tak zwanego falowodu, takiej rurki, po całej Polsce, we wszystkich ośrodkach. Nikt nie chciał mi tego dać, w końcu w Gdańsku, rzeczywiście na Politechnice Gdańskiej, jest to donos ewidentny, szef tej Katedry Mikrofal stwierdził, że on nie może mi dać tego, bo to ma znaczenie wojskowe i on będzie siedział za to, ale może mi pokazać, gdzie ten odcinek falowodu, który mi jest potrzebny, się znajduje i może wyjść na chwilę z pokoju, no i ja w ten sposób w spodniach i pod pachą wyniosłem rurę o długości metr dwadzieścia, bez której nie byłem w stanie zrobić ambitnej pracy magisterskiej. Zrobiłem tę pracę, powiedziałem: „Nigdy więcej” i zostałem belfrem. Nie chciałem w ogóle mieć nic wspólnego z żadną politechniką, z żadną nauką w PRL-u, tylko zostałem nauczycielem fizyki w takim trudnym Technikum Mechanicznym gdzieś na Grochowie, najbliższym technikum od Dworca Wschodniego, w związku z tym młodzież była z okolic Warszawy głównie, była bardzo trudna i to był pierwszy mój jakby kontakt z dramatem – no, nie pierwszy, przepraszam – ale to też powiem jedno słowo: mianowicie ja wychowywałem klasę, która była klasą tak zwaną policealną chyba, po zawodówce, przysposabiającą absolwentów zawodówki mechanicznej na techników, i bardzo to byli sympatyczni chłopcy. To był rok siedemdziesiąty piąty, kiedy oni spod moich skrzydeł z maturą wyszli. Starłem się ich uczyć, jak najlepiej mogłem, jako ich wychowawca także. Po latach spotkałem jednego z nich i się ucieszyłem, że się spotykamy. Ja mówię: „Słuchaj, a powiedz mi, co u was słychać? Co z klasą?”, a on mówi: „A, wie pan, panie profesorze, klasa poszła taką nietypową drogą”. Ja mówię: „Ale co to znaczy »nietypową«?”. „Ano do MSW”. Ja mówię: „Cała?”. „No tak, cała”. „Widzisz, no to nasze drogi się rozstały, bo ja byłem internowany”, on mówi: „No to Kowalski przecież był od internowanych. Pamięta pan Kowalskiego?”. Więc takie miałem osiągnięcie pedagogiczne w swoim życiu. Intuicyjnie przestałem być tym pedagogiem i zdałem taki dziwny egzamin, to się nazywało międzywydziałowe studia doktoranckie w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk na historię, magister inżynier, udało mi się tam dostać i od tego momentu zacząłem pisać pracę doktorską o diable. Pisałem ją z dużymi przerwami ze względu na losy kraju i własne. Już nawet nie powiem, jak długo ją pisałem, ale w końcu ją napisałem, tak że jestem, można powiedzieć, uczciwym doktorem historii, mimo że nigdy na wydziale historii nie studiowałem. Na Politechnikę zdałem w sześćdziesiątym siódmym roku, w związku z tym byłem pokoleniem marcowym, załapałem się na wczesną fazę pokolenia marcowego. Zupełnie przypadkiem znalazłem się 8 marca sześćdziesiątego ósmego roku na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego o godzinie dwunastej. Przysięgam, że był to zupełny przypadek, umówiłem się ze swoją koleżanką i nie spotkałem jej, ponieważ nagle się okazało, że o godzinie dwunastej na dziedzińcu jest tłum ludzi i ktoś tam przemawia. Ja nie znałem zupełnie żadnych postaci, które tam się pojawiły, były one znane niewątpliwie starszym studentom Uniwersytetu Warszawskiego – wiem, że tam występował Adam Michnik, stojący na bodaj beczce, tak że go było widać, ale dla mnie to była postać zupełnie nierozpoznawalna, ponieważ nie byłem człowiekiem politycznym do tego momentu. W pewnym momencie, to bardzo dobrze pamiętam, obserwowałem – i może o tym chwilę powiem, bo to też

jest świadectwo naoczne – w pewnym momencie zajęły cichutko, wjechały na dziedziniec, na którym było pełno ludzi, na dziedziniec uniwersytetu takie charakterystyczne dla PRL-u autobusy San, biało-niebieskie, czyli świadczyło to o tym, że to nie są autobusy miejskie, bo one były jak do dzisiaj są, żółto-czerwone, tylko jakieś właśnie takie zewnętrzne autobusy. Z tych autobusów wysiedli ludzie w średnim wieku, ale także i młodzi, ubrani po cywilnemu zupełnie i zaczęli napierać na ten tłum zgromadzony na dziedzińcu studentów. Ponieważ szybko się zorientowano, że to jest prowokacja i że to są ludzie z zewnątrz Uniwersytetu i są po to, żeby właśnie zrobić prowokację, w pewnym momencie oni wyjęli pałki, zaczęli bić głównie dziewczyny, a był to 8 marca, święto oczywiście komunistyczne, ale jednak dla młodych ludzi takie zrozumiałe, cały tłum jak jeden mąż zaczął krzyczeć: „Gestapo, gestapo!”. Ogłuszający krzyk. Mnie osobiście, ponieważ jestem raczej dość spokojnym człowiekiem, wydało się to nadmierne, no bo co to jest gestapo, to coś tam wiedziałem, w związku z tym wyluskałem się z tego tłumy i tam koło Pałacu Kazimierzowskiego jakby na tyłach tego dziedzińca rośło drzewo, ono chyba rośnie do dzisiaj. Ja nie pamiętam, jakiego typu było to drzewo, ale ono było nieduże wtedy i ja postanowiłem wejść na to drzewo – ponieważ byłem dość zręczny, to mi się udało – i obserwować to wszystko, co się dzieje z góry. Rzeczywiście to trwało gdzieś koło pół godziny i to była ewidentna prowokacja, obliczona na to, żeby doprowadzić studentów do furii, no i żeby wywołać burdy, i w pewnym momencie, jak już rzeczywiście zrobił się taki ostry tumult, jeden z tych prowokatorów przez tubę taką, to już wtedy były takie tuby nagłaśniające, krzyknął: „Ochotnicy z Woli, wycofujemy się!” – to się nazywało „ochotnicy z Woli”. Ja wtedy z tego drzewa odkrzyknąłem: „Dziękujemy ochotnikom z Woli!” i kilku tych ochotników tak się wycofywało, wycofywało, obróciło i spojrzało na mnie, kto zacz, i w zasadzie już mieli mnie dopadać, kiedy ten facet powtórzył „Wycofujemy się!”. No i się rzeczywiście wycofali i wtedy okazało się, że tych studentów już jest niewiele, ponieważ oni jednak, napierani i bici, zaczęli wycofywać się gdzieś tam na tyły, więc zszedłem z tego drzewa, dorwali mnie wtedy dwaj „ochotnicy z Woli”, zaczęli prowadzić do tego autobusu i ów prowodyr, który był, nagle stanął naprzeciwko mnie i powiedział: „Czy ty masz legitymację studencką?”, mówię: „No mam, ale nie tej uczelni”. „To proszę mi dać”. No to ja mu dałem, bo myślałem, że tak trzeba, a on tę legitymację zatrzymał, ale powiedział: „Puśćcie go” – tego nie wiem, dlaczego, ale w każdym razie mnie wtedy nie aresztowano, natomiast legitymację studencką mi zabrano, ten facet powiedział: „Wylecisz z Politechniki, masz to jak w banku”, no i tyle właściwie się stało wtedy. Ja się mocno przestraszyłem, bo nie było łatwo się dostać na Politechnikę, a zwłaszcza na elektronikę. Miałem wtedy zapuszczoną brodę i przestraszyłem się, że będą mnie namierzać po tej brodzie, w związku z tym brodę ogoliłem, 13 marca to już było. Ogoliłem tę brodę, żeby mnie nie namierzyli po brodzie i sobie uświadomiłem, że 13 marca urodził się Albert Einstein i od tego momentu na cześć Alberta Einsteina co roku golę brodę do dzisiaj, choć już nie na cześć Alberta Einsteina, tylko na cześć tradycji, która się wtedy wytworzyła. Ale po drodze jeszcze na Politechnice 11 marca, czyli w poniedziałek, był taki wiec słynny, na którym proklamowano strajk. Ten strajk rzeczywiście się rozpoczął, mimo że ja, no nie wiem, czy słusznie, czy niesłusznie apelowałem publicznie, właśnie też jeszcze z tą brodą, apelowałem o to, żeby nie robić strajku, bo odetną wodę, odetną prąd i po prostu nas załatwią, ośmieszą, ale strajk się odbył i nikt nie odciął wody, nikt nie odciął prądu. Ten strajk był wyraźnie komuś na rękę, bo on trwał z pięć dni, o ile pamiętam, nikogo tam nie atakowano, aczkolwiek Politechnika była okrążona, ale dopuszczali ludzi z zewnątrz, którzy przynosili jedzenie i tak dalej, i tak dalej, tak że nie miałem racji, nie odcięli prądu i nie odcięli wody. Do dzisiaj nie wiem, jakie było zaplecze czy archeologia, powiedzmy, tego wydarzenia. Mieszkałem na Ordynackiej od tego pięćdziesiątego pierwszego czy drugiego roku i to była taka ulica, bo to jak się cokolwiek działo, to myśmy to odczuwali – jak przyjeżdżał Breżniew, jak potem papież przyjeżdżał, to natychmiast były całkowite blokady, zdejmowano

skrzynki na listy z poczty, nad którą mieszkałem, stały całe tabuny ubeków w mojej bramie, bo to dość blisko Nowego Świata, więc takie efektowne wydarzenia zawsze się kojarzyły z pewnymi niedogodnościami, no i między innymi taką niedogodnością było to, że uczestniczyłem, też nie pamiętam, czy wiednie, czy bezwiednie, w marszu, chyba w sobotę, 9 marca, no i dostałem wtedy po raz pierwszy po plecach pałką milicyjną – no to bolesne zdarzenie rzeczywiście, taka pałka to potem plecy pieką dość długo. No i takie było moje wejście w politykę. Legitymację – żeby uzupełnić informację – oddali mi na Politechnice, mój dziekan Alfred Świt i chyba on się nazywał Smoleński, rektor, zdecydowali, że nie będzie żadnych rygorów dla studentów, którzy zostali złapani. Zachowali się bardzo przyzwoicie w odróżnieniu od rektora Turskiego, rektora Uniwersytetu Warszawskiego, ale to o tym już można przeczytać w różnych książkach, jak się tamta wierchuszka Uniwersytetu Warszawskiego zachowała w marcu sześćdziesiątego ósmego roku. Na tym właściwie się moje kontakty polityczne urwały, nie uczestniczyłem w żadnych ruchach, byłem, powiedzmy, sympatykiem KOR-u, tylko tyle. Zająłem się rzeczywiście studiami, zająłem się pracą naukową i dopiero właściwie zupełny przypadek sprawił, że się znalazłem w „Tygodniku Solidarność”. Przypadek polegał na tym, że ja po trzech-czterech latach studiów doktoranckich, które rozpocząłem w siedemdziesiątym piątym roku w tym Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk, straciłem to stypendium, a z czegoś trzeba było żyć, pracy nie napisałem, bo jak wspominałem, pisałem ją dość długo, i to był siedemdziesiąty dziewiąty, właściwie osiemdziesiąty rok i nagle ktoś spytał, skoro nie mam pracy, czy bym nie zechciał pracować w otwierającym się właśnie „Tygodniku Solidarność” pod auspicjami, pod przewodnictwem, można powiedzieć, Tadeusza Mazowieckiego. Muszę tu wrócić. Tak się trafiło, że w momencie kiedy się dostałem na studia doktoranckie, zostałem przydzielony, to się nazywało wtedy Pracownia Kultury Średniowiecznej Polski i szefem tej pracowni był profesor Stanisław Trawkowski, a jednym z ważniejszych członków tej pracowni był profesor, wtedy jeszcze chyba docent Bronisław Geremek. Tam poznałem Geremka, który wprawdzie nie był moim promotorem, ale w zasadzie prowadził mnie. To był niezwykle, wybitny historyk, świetny pedagog, mimo że nie miał do czynienia ze studentami na uniwersytecie, a może dlatego, w każdym bądź razie ja mu bardzo, bardzo wiele zawdzięczałem, jako historyk, podkreślam. Chwała mu za to, jakim był historykiem, nie podzielałem entuzjazmu, już tu uprzedzam, do niego jako polityka. To zupełnie inna bajka. Tak się złożyło, że na studiach doktoranckich poznałem profesora Geremka, a po przyjeździe do pracy w „Tygodniku Solidarność” w kwietniu osiemdziesiątego pierwszego roku poznałem Tadeusza Mazowieckiego. Pracowałem w dziale listów. Ponieważ nie miałem żadnego doświadczenia dziennikarskiego, w związku z tym ani nikt mi nie proponował, ani ja nie chciałem być dziennikarzem, bo to była za poważna sprawa, żeby tam się uczyć zawodu, w związku z tym jako entuzjasta zacząłem pracować w dziale listów i moja praca polegała na tym, że przychodziły tam niezliczone, bo przez te sześć miesięcy chyba działalności tygodnika naliczyliśmy około 12000 listów – tych listów, które uznaliśmy za godne przyjrzenia się, przeczytania. Oczywiście były tam różne listy, także z inwektywami, żarty i tak dalej, natomiast 12 000 listów i każdy list właściwie to była jakaś dramatyczna historia, opisywana przez ludzi, którzy doznali krzywdy od wojny począwszy, a skończywszy na ostatnich czasach tego okresu PRL-u. Ja się szybko zorientowałem, że właściwie żyć się z tym nie da, pracowałem dosłownie szesnaście godzin na dobę – polegało to na tym, że interweniowałem u odpowiednich, jak mi się wydawało, władz, a to począwszy od premiera, skończywszy na prokuraturze lub milicji, żeby interweniować, żeby przedstawić sprawę, żeby z pieczęcią „Tygodnika Solidarność”, z którym jednak się liczone społecznie, mimo wysiłków władzy, żeby się nie liczone, żeby coś zrobić, żeby tym ludziom pomóc. To były niewyobrażalne nieraz dramaty, długo by opowiadać, a zresztą bardzo wiele zapomniałem z tych dramatów, w każdym razie był to rzeczywiście imperatyw taki kategoryczny, immanentny, żeby po prostu jak najwięcej tych listów

przerobić. Nie wiem, czy udało mi się ich przerobić i zainterweniować może koło 1000, bo pracowałem rzeczywiście z każdym dniem coraz szybciej i coraz bardziej się orientowałem, jaka jest struktura państwa, której ja kompletnie nie znałem, ja się tam tego uczyłem, jaka sprawa do kogo powinna trafić, więc to była robota, która rzeczywiście i mobilizowała z jednej strony, i dawała poczucie satysfakcji, ale z drugiej strony była niezwykle przygnębiająca, człowiek żył tymi dramataми. Ja byłem wtedy dość młodym człowiekiem i nie miałem tej odporności, a nie zdążyłem jej nabyć, no bo kilka miesięcy później właściwie już nie było gdzie pracować. W każdym razie to była rzeczywiście taka praca, która mnie bardzo uwarżliwiła chyba społecznie, tak naprawdę dojrzałem społecznie. W momencie wybuchu stanu wojennego dla mnie i dla takiego mojego kolegi, choć on nie pracował w dziale listów, tylko był takim półdziennikarzem, Piotra Stańczyka, wydało się najważniejsze, żeby uratować ludzi, którzy napisali listy do „Tygodnika Solidarność” i rzeczywiście po szoku zupełnym, po takim, pamiętam, w tę niedzielę, my okrążyliśmy budynek „Tygodnika Solidarność”, który się mieścił przy ulicy Batorego – to był taki pawilon parterowy, do dzisiaj on zresztą stoi, taki właściwie trochę przypominający, nie wiem, akademik czy hotel robotniczy, w każdym razie okrążyliśmy z żoną ten budynek kilka razy, żeby zobaczyć, czy tam nie ma kotła – mówię w tę niedzielę po ogłoszeniu stanu wojennego w osiemdziesiątym pierwszym roku, 13 grudnia – ale się okazało, że ten budynek jest nie tylko nieobstawiony, nie tylko pusty, ale i otwarty. Wydało nam się to bardzo podejrzane, ale ponieważ tak było, w związku z tym weszliśmy tam i zaczęliśmy tam zabezpieczać, on był nienaruszony, on był po prostu nienaruszony, zabezpieczać to, co mogło być cenne, co mogło być dla jakichś tam ludzi kompromitujące – mówię kompromitujące politycznie – co mogło być cenne dla drugiej strony, czyli dla junty do wykorzystania propagandowego, i rzeczywiście tak się stało, że my przez trzy dni tam pakowaliśmy manatki i przy pomocy głównie samochodu mojej żony, mieliśmy takiego jako chyba jedni z nielicznych wtedy malucha, pod słowem honoru, pod strachem, że za chwilę będziemy zatrzymani i aresztowani, że wywozimy czy kradniemy publiczny majątek, wywoziliśmy to po uzgodnieniu z jezuitami na Rakowieckiej do jezuitów, i oprócz tego, że się wywoziło papiery z gabinetu redaktora naczelnego i innych, to myśmy wywieźli te 10 000 listów tym maluchem, bo baliśmy się. Dzisiaj myślę, że to dziecinada, ale baliśmy się, że to weźmie ubecja i zacznie tych ludzi po prostu szykanować za to, wyłapywać jakby tę część społeczeństwa, która na tyle była aktywna i na tyle odważna, że się ośmieliła w środku PRL-u narzekać na władze komunistyczne, i to rzeczywiście zostało wszystko przez nas w ciągu trzech dni wywiezione do jezuitów. Niestety straciliśmy z tym kontakt, nie wiemy, co się z tym stało. Chcieliśmy nawet z tym Piotrkim Stańczykiem, jak już się uspokoiło, to kiedyś odzyskać czy jakoś gdzieś zabezpieczyć, żeby to przetrwało jako dokument życia społecznego, ale po prostu ci jezuiti, z którymi myśmy już po latach rozmawiali – no, to było kilka lat, bo wcześniej człowiek o tym nie myślał – już w ogóle nie wiedzieli, że coś takiego tam było, po prostu nie wiem, co się z tym stało. Nie jest to, powiedzmy, z dzisiejszego punktu widzenia jakiś niezwykle dokument rzeczywiście, ale do dzisiaj jestem ciekaw, co się stało, to były po prostu dziesiątki wielkich kartonów, bo te listy nie polegały na tym, że to był list, ale to były dokumenty załączone, jakieś tam prawie przedmioty dołączone do świadectwa sprawy, którą te listy poruszały. W każdym razie to nam się udało. Druga rzecz, jaką stwierdziliśmy, że musimy zrobić wobec faktu, że chyba osiem osób z tygodnika zostało internowanych, baliśmy się, że władza będzie próbowała, bo te ich wypowiedzi były bardzo niejasne, oni jakby jeszcze nie wiedzieli, co zrobią z „Solidarnością”, myślę, że zależało to od tego, jak będzie się rozwijała sytuacja polityczna i społeczna, w każdym razie baliśmy się, że oni zrobią fałszywkę, że będą kontynuowali „Tygodnik Solidarność”, wykorzystując jakby mir, bo to był bardzo wysoki mir tego tygodnika, będą próbowali kontynuować w nowej redakcji odpowiednio zglajchszaltowanej i odpowiednio podporządkowanej będą chcieli kontynuować „Tygodnik Solidarność” i nam się wydawało, że musi-

my wydać coś w rodzaju namiastki tygodnika, choćby jedną stronicę, ale z takim logo, które przypomina „Tygodnik Solidarność”, żeby według list kolportażowych, które mieliśmy, przekazać taką informację, że dopóty dopóki „Tygodnika Solidarność” w jakiegokolwiek formie nie podpisze Tadeusz Mazowiecki, wszystkie inne papiery, dokumenty, gazety, które by się sygnowały „Tygodnikiem Solidarność” są po prostu fałszywką. To nam się wydawało wtedy niezwykle ważne, taka była nasza świadomość, dzisiaj ona może wydawać się śmieszna. W każdym razie nie chcieliśmy się spotykać w tygodniku, bo baliśmy się, że tam mogą być podsłuchy. Przypuszczam, stał tam taki samochód na rogu w odległości, nie wiem, siedemdziesięciu metrów z bardzo wysoką anteną, stał tak jakby zaparkowany i opuszczony od gmachu tygodnika. Baliśmy się, że to może być podsłuch, w związku z tym wiedzieliśmy, jak już się nam udało wywieźć te papiery – tu jeszcze muszę powiedzieć tyle, że pod tymi budynkami parterowymi tam stoją cztery budynki, w każdym z tych budynków osobnych były inne instytucje, a pod tymi budynkami była potężna piwnica, która łączyła wszystkie te budynki i w związku z tym nam się udało, tak dogadaliśmy się z sąsiednim budynkiem, gdzie mieściło się jakieś biuro projektowe czy coś takiego, że myśmy do piwnicy znosili to i wychodzili z tym z zupełnie innego budynku, tak, żeby nas nie namierzono, że wynosimy coś z „Tygodnika Solidarność”. Zaczęliśmy się spotykać na Ordynackiej w naszym domu, jak mówiłem w centrum miasta. Wtedy nie było czynnych telefonów, w związku z tym w pierwszych dniach to właściwie też niezwykle sporadycznie chodziła komunikacja, w związku z tym trzeba było wybrać miejsce, do którego wszystkim jest równie blisko lub równie daleko, no i to było właśnie w centrum miasta i spotykaliśmy się, żeby uzgodnić, co mamy dalej robić. Takich spotkań było, o ile dobrze pamiętam, między tym 13 grudnia czy powiedzmy, tak jak mówię, pierwsze trzy dni spędziliśmy właściwie wyłącznie w tym budynku tygodnika, żeby go zabezpieczyć, czyli, powiedzmy, od 16 grudnia, oczywiście z przerwą na święta, w które to święta dobry generał Jaruzelski zniósł nawet godzinę policyjną, do 31 grudnia spotkaliśmy się z pięć czy sześć razy na Ordynackiej i tam uzgadnialiśmy, co zrobić, jak nie mieliśmy żadnych środków technicznych. Udało nam się chyba jakiś kserograf tylko zwinąć, nie jestem pewien, czy w tamtych czasach w „Tygodniku Solidarność” nie był wyłącznie jeden kserograf, bo to były początki kserografów w PRL-u, więc przy pomocy jakichś takich rzeczy trzeba było coś takiego zrobić, żeby rzeczywiście zablokować tę ewentualną fałszywkę i już właściwie to się tak zaczynało kluć, jak by to zrobić. Pewnego dnia, za pewnym razem nasz jeden z kolegów, Piotrek Rachtan, dziennikarz chyba z redakcji społecznej, przyprowadził takiego dość młodego człowieka, który pracował podobno w Regionie Mazowsze, który to człowiek przyniósł nam takie bardzo długie wydruki z telefaksu chyba, z informacjami. Jak żeśmy się szybko zorientowali, były to informacje spisane z Wolnej Europy, która zresztą wiedziała znacznie mniej niż my, bo rzeczywiście ta blokada informacyjna była dość. To nam się wydało takie dziwne, że on to przyniósł, pamiętam, no ale przyniósł, no to się tam mówiło, że może by rzeczywiście jakiś faks wykorzystać, coś się cały czas kotłowało nam w głowach, żeby cokolwiek zrobić, no i pamiętam, 30 grudnia żeśmy się spotkali również i umówiliśmy się na sylwestra 31 grudnia u nas na Ordynackiej. Oczywiście nikomu nie było do zabawy, ale żeby się spotkać, napić wódki na pohybel, takie rzeczy. Myśmy przygotowywali z żoną Ewą tego sylwestra na tyle, na ile to było możliwe przy ówczesnej aprowizacji i o godzinie szóstej zapukali do nas smutni panowie, czyli no kocioł, wyspa i myśmy się zaczęli przede wszystkim denerwować tym, że będzie kocioł, że za chwilę przyjdzie, no nie wiem, tam miało przyjść z piętnaście osób do nas i wszystkich nas zwinąć. Na szczęście smutni panowie byli również chętni do zabawy w sylwestra, uwinęli się dość szybko – powyciągali z biblioteki wszystko, co było albo podziemne albo nawet wydane w czasach „Solidarności”, ale oni uznali, że to są wydawnictwa nielegalne, no i powiedzieli, że jesteśmy aresztowani i że jedziemy na dołek na Mostowskie oboje i że w najlepszym wypadku będziemy internowani, a tak naprawdę

to mają tu materiały do tego, żeby nam wytoczyć proces i będziemy wiele lat siedzieli w więzieniu. Taka perspektywa była. Dość ważną dla nas życiowo sprawą było to, że mój ojciec był przy tym i to wszystko słyszał, i moje ostatnie widzenie wtedy ojca to było takie, że siedział blady jak papier, no i nas zabrali. Mój ojciec nie przeżył tego. Więc ostatni taki obraz, który zapamiętałem, kiedy nas brali z Ordynackiej, to był mój ojciec, który bardzo to przeżył i to było widać. Uprzedzę fakty, że dwa tygodnie później dostał pierwszego zawału, który udało mu się przeżyć, ale całości właściwie nie przeżył, w półtora roku później na trzeci zawał zmarł i ja na pogrzebie nawet powiedziałem, że jest jeszcze jedną ofiarą stanu wojennego, ponieważ rzeczywiście zachowanie, znaczy oni nie byli ani brutalni, ci ubecy, którzy nas brali, byli bardzo nawet, można powiedzieć, w białych rękawiczkach, ale byli dosadni, w każdym razie grozili, grozili po to, żebyśmy się przestraszyli i byli bardziej miękcy. W każdym razie stamtąd udało nam się wyjść już o godzinie ósmej, bo jak mówię, oni wyraźnie się spieszyli na swoje zabawy i dzięki temu nikt nie wpadł, tylko potem mi opowiadali przyjaciele, którzy pojawili się gdzieś tam właśnie około tej dziesiątej na tę uroczystość w sylwestra, że dalej mój ojciec był jak ten papier, i jak Janek Doktor, jeden z tych naszych takich najbardziej zasłużonych potem podziemnych współpracowników mówił, że stanął w drzwiach, ojciec mój mu otworzył i powiedział: „Ewę i Wojtka zabrali”, to on mówi: „Odsunąłem ojca i wszedłem, żeby zobaczyć, co się dzieje, dlaczego on takie rzeczy opowiada. I zobaczyłem, że rzeczywiście was nie ma”, no, ale kto się spodziewał? Ale jak się człowiek angażuje w jakąś tam awanturę polityczną, no to musi się takich rzeczy spodziewać. W każdym razie nas przewieziono do Pałacu Mostowskich i jeszcze jakieś było chyba krótkie przesłuchanie, myśmy odmówili jakiegokolwiek wyjaśniania, w związku z tym z wyraźną ulgą na twarzy ten funkcjonariusz kazał nas odprowadzić do celi i siedziałem na takim dołku, co to się tylko znało z opowieści i też się nie wierzyło, to znaczy betonowa, bo to w jakiejś ciężkiej piwnicy, nawet nie wiem, jak długo schodziliśmy na ten poziom piwnic, to taka betonowa konstrukcja cube, powiedzmy, prostopadłością o podstawie kwadratu, w czterech rogach podwyższenia betonowe, na których leżały sienniki, a na samym środku klozet nieosłonięty. Chyba trzech nas było, jednego pamiętam, bardzo był zabawny starszy gość, który przedstawił się jako złodziej i mówił: „Wiesz, to my musimy, to my se damy radę z nimi”, bo jak ustalił, że jestem polityczny, to on: „Damy sobie radę z nimi, tylko wiesz co, zrobimy tak: ty taką listę spiszesz swoją, a ja spiszę wszystkich swoich prokuratorów i będziemy ich odstrzeliwać, ale w kolejności od prokuratorów zacząwszy”. Ja mówię: „Dobrze, bardzo mi odpowiada ten układ. Mam nadzieję, że uda się zrealizować”, no bardzo był zabawny człowiek, siedział oczywiście za niewinność, ale mówię, przedstawił się, że jest złodziejem. Na szczęście były tam jakieś książki, lampka bzdziła się całą noc, tak że można było ukoić swoje zdenerwowanie, a ja miałem podwójne, no bo denerwowałem się o siebie, no ale przede wszystkim denerwowałem się o Ewę, no więc tam rzeczywiście znalazłem nawet wśród bardzo dziwnych, znaczy oczywistych księzek typu jakieś stalinowskie bzdety, ale znalazłem opowieści włoskie Stendhala. Zdziwiłem się, że coś takiego jest, ale jak przeczytałem, to już się nie dziwiłem, bo głównie te opowieści włoskie polegają na tym, że tam opisane są więzienia włoskie z XVIII wieku i one były znacznie cięższe niż nawet ten dołek na Mostowie, więc sobie pomyślałem, że to na takiej, żeby uprzedzić, że może być gorzej, podsuwają tym biednym więźniom co bardziej, powiedzmy, intelektualnie żywym taką anegdotę czy informację. W każdym razie przesiedziałem tam do 2 rano. Wezwano mnie na przesłuchanie, uczepiono się jednego dokumentu, i słusznie zresztą między nami mówiąc, mianowicie to była taka kartka papieru zapisana na maszynie. Autorem tego tekstu, który oni znaleźli u Ewy w torbie, był znany skądinąd Marek Safjan, wtedy on był magistrzem i pracował w Sejmie jako taki korespondent sejmowy, coś takiego, o ile dobrze pamiętam, jeszcze wtedy tak pracował, a to był taki tekst, z którego myśmy postanowili zrobić ulotkę i tę ulotkę zdążyliśmy zrobić i rozpowszechnić po mieście, który podważał prawo-

mocność stanu wojennego w świetle konstytucji PRL-u. Ja tutaj ten tekst przygotowałem, może ja bym go odczytał, przynajmniej początek, bo to charakterystyczny początek. Tak to wygląda, nie wiem, czy to jakieś zbliżenie. To jest ksero oczywiście. To jest oczywiście nieudolne ksero dokonane przez albo Służbę Bezpieczeństwa, albo IPN, bo ja otrzymałem to z IPN-u. Nie wiem. Tak to wygląda i zaczyna się od takich słów: „Rozmiar bezprawia, które dopuściła się junta generała Jaruzelskiego, poraził społeczeństwo. Dnia 12 grudnia osiemdziesiątego pierwszego roku wprowadzono na terenie całego kraju stan wojenny, jednocześnie wydano cały kompleks aktów normatywnych, regulujących sytuację prawną obywateli i organizacji społecznych. Trzeba się jednak zdobyć na chłodną analizę, na rozumowanie prawnicze, które wydać się może Polakom w obecnych warunkach czystym absurdem, ale dla opinii światowej i dla historii pozostanie jednym z dowodów reakcji narodu na terror i bezprawie”. Tak to się zaczyna, a potem są dwa akapity, to już nie będę zanudzał, dotyczące sprzeczności z konkretnymi przepisami konstytucji czy artykułami konstytucji decyzji i edyktów junty generała Jaruzelskiego. To bardzo charakterystyczne, że to coś aktualnego jakby odzywa się, że też ważna jest ta konfrontacja z zagranicą, do której teraz znowu, powiedzmy, nazwijmy to środowisko Marka Safjana chce nas skonfrontować. W każdym razie oni się tego bardzo uczepili i pytali mnie, a potem Ewę o to, skąd to jest, kto to zrobił, kto to napisał i że była ekspertyza przez te dwa dni, które upłynęły od momentu, kiedy oni nas zaaresztowali, że to jest pisane na mojej maszynie i moją ręką są wpisane poprawki.